

JERZY JESZKE

MOJE WYSPIY WOLNOŚCI

Refleksje poniżej zamieszczone dotyczą w głównej mierze mojej biografii. Pomimo upływu czasu nie wszystko wyparowało z pamięci...

Przez tytułowe wyspy wolności rozumiem życiowy kontekst mojego rozwoju. Na uwadze mam dwie takie wyspy: Rodzinę oraz Katolicki Uniwersytet Lubelski. Owe dwie wyspy wolności z całym zespołem komponentów przyczyniły się do mojego pozytywnego rozwoju. Z tych wysp wolności promieniowało Dobro i Prawda.

Zacznę od Rodziny. Urodziłem się 26 kwietnia 1932 r. w miejscowości Węsiory w województwie pomorskim. Teren ten nazywany był w owym czasie „polskim korytarzem”. W 1939 r. wraz z wybuchem II wojny światowej został wcielony do III Rzeszy. Miałem wtedy siedem lat i o wojennym Fall Weiss (Biały Plan) nic nie wiedziałem. Plan ten dotyczył hitlerowskiego podboju Polski. Moja miejscowość była oddalona od granicy niemieckiej o zaledwie 15 kilometrów.

Pamiętam w ogólnych zarysach wybuch II wojny światowej w piątek 1 września 1939 r. Byłem, jak sądzę, rozgarniętym już chłopcem, wiedziałem i rozumiałem wiele. Utkwił mi w pamięci sam początek wojny. Żołnierze zjawili się u nas już 1 września. Polacy z kompanii o nazwie Obrona Narodowa (ON), siły militarnej zmobilizowanej w ostatnich miesiącach przed wybuchem wojny, przed południem opuszczali nasze tereny w kierunku wschodnim. Dowódcą był podoficer nazwiskiem Chlebowski pochodzący z Poznańskiego. Żołnierze mieli mauzery i karabin maszynowy. Moja Mama Aniela (z domu Węsierska) zapytała z niepokojem jednego z żołnierzy: „Co dalej, co będzie z nami?” Usłyszałem odpowiedź: „Gdyby żył marszałek



Prof. dr hab. JERZY JESZKE – germanista, emerytowany profesor KUL, członek czynny Wydziału Historyczno-Filologicznego TN KUL.

Józef Piłsudski, to nie wkroczylibyśmy tutaj”. Słysząc w tym było echo propagandowe (tak dziś myślę) podsuwanego przed wojną Polakom wariantu „pójścia razem na Sowiety” (jak wiadomo to Niemcy z Sowietami poszli razem na Polskę). Pamiętam też przybycie patrolu Wehrmachtu (trzech żołnierzy na rowerach) w godzinach południowych. Potem rozpoczęła się lawina pojazdów – czołgi i samochody opancerzone. Trwało to około tygodnia. Mam również w pamięci niedzielę 3 września 1939 r., kiedy to w naszym kościele parafialnym grupa żołnierzy Wehrmachtu była na Mszy św. Odprawiał ją kapelan Wehrmachtu w stopniu oficera, a żołnierz-organista zaintonował *Grosser Gott wir loben Dich (Ciebie Boże chwalimy)*.

W mojej miejscowości w kampanii wrześniowej nie było żadnych walk, gdyż żołnierze Obrony Narodowej, jak wspominałem, opuścili te tereny bez strzału, a nawała Wehrmachtu zmierzała w kierunku Wybrzeża i dopiero tam natrafiła na opór Wojska Polskiego. Jedyne, co utraciliśmy w tym czasie z naszego majątku, to uprzęż konna, zabrana w całości przez Wehrmacht. Uniemożliwiało to na wiele tygodni podjęcie prac polowych w naszym ziemiańskim gospodarstwie.

Z dalszych lat wojennych mocno utkwiło w mojej pamięci wydarzenie z 1942 r., gdy Niemcy już poszli na Rosję Sowiecką. Pamiętam, że zatrzymał się u nas w Węsiarach, w porze obiadowej, ks. płk Józef Wrycza (oczywiście w ubraniu cywilnym), związany przed wojną z Obozem Narodowym, przeciwnik rządzącej Sanacji, w czasie wojny związany z „Gryfem Pomorskim” (wojnę przeżył, był proboszczem na Kaszubach w Wielu). Towarzyszyła mu jego siostra. W tym czasie żandarmi niemieccy patrolowali okolicę i właśnie wkroczyli do nas. Siostrę księdza ogarnęło przerażenie. Pełna obaw, co z tego wyniknie, z trudem panowała nad sobą. „Goście” zapytali: „Dlaczego drżą pani ręce?” Ksiądz, nie tracąc zimnej krwi, zareagował błyskawicznie. Doskonałą niemieczyzną zwrócił się do przybyłych: „Przyjechaliśmy z Berlina, gdzie piraci amerykańscy i angielscy bombardują nas dzień i noc. Trudno więc nie stracić nerwów”. Żandarmi przeprosili, wyszli i nie wrócili. Dość długo nie mogliśmy ochłonąć, bo wiadomo, jak mogło się to wszystko skończyć. Ksiądz, człowiek dzielny nad wyraz, odczekał trochę i udał się do kryjówki-„bunkra”, do swoich z „Gryfa”.

Wspomniane wyżej straty we wrześniu 1939 r. była niewielkie w porównaniu z tym, co z nami uczynili Sowieci w marcu 1945 r. – zrabowali cały nasz inwentarz żywy i martwy. Bardzo przykrym wydarzeniem stał się fakt, że byliśmy zmuszeni opuścić na kilka tygodni nasz dom. Było to szczególnie bolesne dla mojej 96-letniej babci. W naszym domu urządził swoją siedzibę

Sztab Armii Czerwonej. Wskutek tego część budynku została zdewastowana. Dla mnie – jako wówczas 13-letniego chłopaka – wielkim smutkiem stało się zaginięcie ukochanego obrazu przedstawiającego Anioła Stróża chroniącego dzieci idące przez most. Obraz ten był podarunkiem mojej babci ze strony ojca.

Mojego śp. Ojca jako rzekomego „Germańca” i burżuazja Sowieci aresztowali i wywieźli na Ural, gdzie przy głodowych racjach żywieniowych był zmuszony do pracy w kopalni węgla w Kopiejsku, a także w fabryce traktorów w Czelabińsku i w kolchozie. Dopiero po czterech latach niewolniczej pracy Ojciec został zwolniony dzięki interwencji rodziny i miejscowej gminy u władz polskich jako repatriant, czyli jako były obywatel Polski. Przed wywózką na Ural mój śp. Ojciec bardzo ucierpiał, bo Niemcy wielu mężczyzn, łącznie z księdzem proboszczem, aresztowali i więzili przez tydzień w kościele w miejscowości Przodkowo koło Kartuz. Po przesłuchaniu wszystkich mężczyzn zwolniono. Niemcom chodziło głównie o wykrycie członków Związku Zachodniego (Westverband). Mój ojciec do żadnej organizacji politycznej nie należał.

W pamięci mam również dyskusje starszych ludzi w moich rodzinnych stronach na temat niemieckich żądań powrotu do III Rzeszy Gdańska, gdzie dominowała ludność niemiecka.

Z wdzięcznością przywołuję pamięć o swojej Rodzinie, katolickiej, ziemiańskiej, kaszubskiej, która wydała piękne osobowości. Mój przodek brał udział w walce o zachowanie wiary katolickiej pod Wiedniem pod dowództwem króla Jana III Sobieskiego. Za zasługi w tej walce otrzymał szlachectwo i herb Cieszyca Węsierski.

Przed II wojną światową nie chodziłem do szkoły, gdyż mój wiek na to nie pozwalał. W czasie wojny uczęszczałem z różnymi przerwami do szkoły niemieckiej. Przerwy te były spowodowane powoływaniem nauczycieli do wojska. Ostatnimi nauczycielami były dwie panie pochodzące z Austrii.

Po wojnie od 1945 r. uczęszczałem do miejscowej szkoły podstawowej, a w latach 1948-1952 byłem uczniem Szkoły Ogólnokształcącej im. Hieronima Derdowskiego w Kartuzach. W tej szkole w przeważającej mierze byli nauczyciele pochodzący z Wilna i Lwowa.

Po maturze, w latach 1952-1954, byłem nauczycielem szkoły podstawowej. Następnie podjąłem studia w zakresie Filologii Germańskiej na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim, gdzie też w 1959 r. uzyskałem stopień magistra na tym kierunku. Tematem mojej pracy magisterskiej była twórczość pisarska Johanna Gottfrieda Herdera (1744-1803). Zwróciłem uwagę na pewne właściwości językowe Herdera. Był on twórcą m.in. nazwy Volkslied (pieśń ludowa). Charakterystycznym rysem jego twórczości było czerpa-

nie ze skarbca kultury ludowej i kreślenie optymistycznego obrazu braterstwa ludów. Koncepcję mojej pracy ustaliłem z kierownikiem prof. Bernhardem Stephanem. Recenzentem był prof. Andrzej Wojtkowski, doskonały znawca problematyki Herderowskiej.

Wybór katolickiej Uczelni był w owym czasie podejściem idealistycznym, był też ryzykiem, które mogło kończyć się bezrobociem. Dla mnie jednak KUL ze względu na moje pochodzenie z rodziny ziemiańskiej stanowił jedyną możliwość studiowania na wyższej uczelni. Alternatywą dla synów ziemiańskiego pochodzenia była wtedy służba w „ludowym wojsku” i praca w kopalni węgla.

Eufemistycznie mówiąc, nastawienie władz PRL wobec KUL-u było bardzo negatywne¹. W moim jednak przypadku los był przychylny. KUL stał się dla mnie drugą wyspą wolności, gdzie panowała życzliwość i szacunek dla drugiego człowieka, dla bliźniego. Zaraz po studiach od 1959 r. zostałem pracownikiem naukowym KUL. Specjalizowałem się, począwszy od magisterium, w językoznawstwie germańskim. W orbicie moich zainteresowań pozostawała grupa języków zachodniogermańskich: język niemiecki, angielski i niderlandzki. Uzupełniałem też moją wiedzę w zakresie językoznawstwa polonistycznego na wykładzie i seminarium prowadzonym przez prof. Tadeusza Brajerskiego i na ćwiczeniach gramatycznych prowadzonych przez dr Marię Kossowską. Stanowiło to dla mnie poszerzenie horyzontów językoznawczych, przydatnych zwłaszcza w okresie zawieszenia przez władze PRL działalności filologii obcych na KUL-u. Prowadziłem wtedy zajęcia z językoznawstwa ogólnego dla polonistów (wykład i konwersatorium oraz naukę języka niemieckiego dla pracowników naukowych).

Wiedzę lingwistyczną z zakresu językoznawstwa współczesnego zdobywałem ponadto w Niemczech, Belgii i Anglii, gdzie bardzo owocne były dyskusje ze specjalistami tej dziedziny.

W czasie mojej pracy na KUL-u oprócz zajęć dydaktycznych pisałem i publikowałem artykuły w języku niemieckim i polskim dla czasopism naukowych w kraju (KUL, UAM w Poznaniu, UW) i dla czasopism zagranicznych (Niemcy, Belgia i Holandia).

¹ To, co tu określam jako negatywny stosunek wobec naszego Uniwersytetu, było charakterystyczne dla całego okresu PRL-u. KUL musiał wówczas walczyć o przetrwanie. Obecnie forma tego negatywizmu jest inna. Wówczas, w PRL, istniały specjalne urzędy, które „czuwały” nad KUL-em i całym Kościołem, wytwarzając fałszywe obrazy. Obecnie taktyka wobec KUL-u polega na dezinformacji, opieraniu się na fałszywych aktach, wytworzonych przez te urzędy w poprzednim okresie. Pytanie retoryczne: komu zależy na rozpowszechnianiu dezinformacji na temat KUL-u i katolicyzmu w ogóle?

KUL nie miał wówczas praw nadawania doktoratów i habilitacji na Wydziale Nauk Humanistycznych. Ten przywilej posiadały tylko uczelnie państwowe. Znaczny więc wysiłek stanowił dla mnie doktorat w Uniwersytecie Adama Mickiewicza w Poznaniu i habilitacja w Uniwersytecie Warszawskim. Prawo przeprowadzania doktoratów i habilitacji na tym Wydziale KUL odzyskał dopiero dzięki usilnym staraniom ks. rektora Mieczysława Alberta Krapca i prorektora Stefana Sawickiego.

Promotorem mojej pracy doktorskiej był prof. Ludwik Zabrocki. Praca dotyczyła poziomu fonologicznego określonego wycinka języka dolnoniemieckiego. Według teorii fonologicznej prof. Zabrockiego jednostką podstawową w płaszczyźnie fonicznej był fonem, definiowany zarówno syntagmatycznie, jak i paradygmatycznie. Moja analiza odnosiła się wyłącznie do fonemów dolnoniemieckich – w ich realizacji jako allofony (warianty fonetyczne) i neutrofony (fony zneutralizowane w wygłosie, np. *d* jako *t*). Recenzentami mojej pracy doktorskiej byli profesorowie Mikołaj Rudnicki i Aleksander Szulc.

Moja praca habilitacyjna natomiast dotyczyła innej płaszczyzny języka niemieckiego: semantyki. Opracowanie to ograniczyło się do komponentów semantycznych, tzn. składników znaczeniowych wybranych leksemów języka ogólnoniemieckiego. Recenzentami byli profesorowie: Jerzy Bańczewski, Franciszek Gucza i Norbert Morciniec.

KUL w odróżnieniu od uczelni państwowych PRL był wyspą wolności. Rządząca Polską partia nie miała zasadniczego wpływu na życie naszego Uniwersytetu. Byliśmy np. wolni od imprez urządzanych przez komunistów. Był to w ogóle pewien ewenement w całym bloku komunistycznym. Wykłady profesorów KUL-u, co mogę istotnie stwierdzić, nie różniły się od analogicznych wykładów na uniwersytetach zachodnioeuropejskich, czego osobiście doświadczyłem. Wymienię tu tylko niektórych znakomitych wykładowców i ich cenne wykłady w KUL-u: prof. Bernhard Stephan, prof. Irena Sławińska, prof. Janina Pliszczyńska, prof. Jerzy Kalinowski, prof. Stefan Swieżawski i inni.

Najbliższy był mi prof. Bernhard Stephan. Był on wyjątkowym wykładowcą na Sekcji Filologii Germańskiej KUL. Odznaczał się doskonałą znajomością literatury katolickiej i literatury niemieckiej w ogóle. Ponadto był wysoce kompetentny w dziedzinie muzykologii i historii sztuki. Jego uniwersalna erudycja nie zawsze była rozumiana w naukowym środowisku uniwersyteckim, zwłaszcza że nie w pełni władał językiem polskim. Był narodowości niemieckiej, wrocławianinem, który po II wojnie światowej

pozostał w rodzinnym mieście. Tę jego wielką erudycję doceniali profesorowie KUL, którzy biegle władali językiem niemieckim. Byli to m.in. prof. Andrzej Wojtkowski, prof. Zdzisław Papierkowski, ks. prof. Mieczysław Żywczyński, prof. Jan Stanisław Łoś. Profesorowie ci w pełni zdawali sobie sprawę z ważności języka niemieckiego, przede wszystkim w XIX-wiecznym świecie naukowym. Rozległą wiedzę prof. Stephana w pełni doceniali również studenci germanistyki, odznaczający się dobrą znajomością języka niemieckiego. Do nich należeli: Monika Skibicki² (nazwisko panięskie Gawlik), Jadwiga Michalska, Maria Nowaczyk (nazwisko panięskie Nowak), Joanna Markus, Elżbieta Bałachowska (secundo voto Rokicka) i inni.

Oprócz przedmiotów ściśle germanistycznych mieliśmy zajęcia ogólnowydziałowe, które obowiązywały studentów wszystkich filologii. Odbywały się one w języku polskim. Pragnę tu wymienić przede wszystkim teorię literatury, literaturę powszechną, językoznawstwo ogólne, historię filozofii i etykę.

W pamięci zapadły mi zajęcia z prof. Ireną Sławińską. Były to: na pierwszym roku studiów wykłady z teorii literatury i historii literatury średnio-wiecznej oraz na czwartym roku konwersatorium z teorii literatury. Wszystkie jej zajęcia kończyły się egzaminami, które nie były tylko formalnością. Nie wszyscy studenci byli w stanie przełamać bariery egzaminacyjne. Mnie natomiast bardzo odpowiadała metoda egzaminacyjna prof. Ireny Sławińskiej, polegająca na przedstawieniu problemu do rozwiązania, a nie na stawianiu studentowi szczegółowych pytań.

W mojej pamięci utkwily również wykłady prof. Janiny Pliszczyńskiej z historii literatury starożytnej. Nader podziwiany przez studentów był wręcz artystyczny poziom tych wykładów. Na egzaminie prof. Pliszczyńska wymagała szczegółowej znajomości obowiązujących lektur. Nie zadowalały jej odpowiedzi syntetyczne.

Nie ulotniły się też z mojej pamięci wykłady z etyki prof. Jerzego Kalinowskiego, które zachwycały nas swoją logiką. Były zawsze precyzyjnie przygotowane i nigdy nieodczytywane z kartki. Szkoda, że potem pozbyliśmy się tak zacnego profesora na rzecz Francji.

² Dr Monika Skibicki jest autorką wielu prac językoznawczych. Wymieniam tu tylko jej dwie publikacje: *Polnische Grammatik*, Helmut Buske Verlag, Hamburg 2007, ss. XVI+503 oraz *Grammatikübungsbuch Polnisch*, Helmut Buske Verlag, Hamburg 2007, ss. 199. Prace te stanowią istotne wydarzenia w historii językoznawstwa niemieckiego, są bowiem najgłębszymi i najszerszymi opracowaniami gramatyki języka polskiego w aspekcie lingwistyki pragmatycznej.

Last, not least, nie mogę tu nie pamiętać i nie wyrazić mojej wdzięczności Andrzejowi Paluchowskiemu, dyrektorowi Biblioteki Uniwersyteckiej KUL, za przyjazne udostępnianie mi publikacji do prac doktorskiej i habilitacyjnej. Ułatwiło mi to w znacznej mierze twórczość naukową.

*

Po tym ogólnym rysie swojej biografii pragnę przekazać kilka spostrzeżeń nauczyciela akademickiego prowadzącego przez wiele lat seminarium o języku i w języku niemieckim.

Językiem ojczystym moich studentów był przecież wyróżniający się fleksyjnością język polski, w którym funkcję wyrazu w zdaniu wyznacza końcówka deklinacyjna lub koniugacyjna, a nie jego pozycja w ciągu linearnym. Konfrontacja z językiem niemieckim często generowała nieprawidłowości standardu niemieckiego. Przedstawiało się to różnie w zależności od danej płaszczyzny struktury językowej.

W płaszczyźnie fonetycznej prawidłowe wyniki były stosunkowo najłatwiej osiągalne. Natomiast w zakresie składni sprawa wyglądała gorzej, co było spowodowane specyfiką składni niemieckiej. W zdaniach głównych bardzo obco polskiemu studentowi jawiło się orzeczenie (*verbum finitum*) składające się z dwóch komponentów, a takimi język niemiecki najczęściej dysponuje zwłaszcza w kodzie mówionym. Pierwszy komponent stawia się na drugim miejscu w zdaniu głównym, a drugi na jego końcu, np. *fahre – ab, höre – auf, lese – vor, stelle – auf* itd. Ten drugi komponent stanowią przeważnie różnego rodzaju przedrostki. W innym wypadku akwizycja zdania głównego nie stanowiła zasadniczego problemu, naturalnie tam, gdzie nie była uwarunkowana kontekstem. Zdanie główne zarówno w języku niemieckim, jak i polskim cechuje struktura linearna: podmiot – orzeczenie, ewentualnie dopełnienie, np. *X arbeitet, X arbeitet den ganzen Tag*.

Gdy jednak student używał zbyt często tej konstrukcji, a nie potrafił jej modyfikować w kontekście, powodowało to monotonię danej wypowiedzi.

Większą trudność sprawiała aplikacja zdania pobocznego. W typie takiej struktury zdania, inaczej niż w języku polskim, orzeczenie (osobową formę czasownika) stawia się na końcu zdania, ale może ono stać także na drugim, trzecim, a nawet czwartym miejscu od końca danego zdania pobocznego, np. *daß er der ganzen Tag arbeitete (że pracował cały dzień), daß er der ganzen Tag hätte gearbeitet (że pracował rzekomo cały dzień), weil er das nicht hat*

machen sollen (ponieważ nie powinien był tego zrobić), hat angerufen werden müssen (ponieważ powinien był być przywołany).

Te pozycje orzeczenia powodują powstawanie tzw. konstrukcji ramowej (klamrowej) zdania pobocznego, w którym na pierwszym miejscu stawia się komponenty funkcyjne: spójniki, przyimki, zaimki względne pełniące funkcję łącznikową. Konstrukcja ramowa (klamrowa) odnosi się również do zdania głównego, z tą różnicą, że jej początkiem jest *verbum finitum* (drugie miejsce w zdaniu), ogólnie rzecz biorąc – może mieć charakter werbalny (*Ich fahre immer schwarz – podróżuję zawsze na czarno = bez biletu*) lub nominalny (*der älteste Mensch – najstarszy człowiek*). Ta osobliwa klamrowość zdania niemieckiego polega na tym, że pomiędzy element inicjalny zdania, tak głównego jak i pobocznego, wstawia się elementy teoretycznie nieskończone, praktycznie jednak ich liczba jest ograniczona ze względów apercypcyjnych.

Poza wyżej wymienionymi nieprawidłowościami odnoszącymi się do immamentnej struktury zdania pragnę zwrócić uwagę na niewłaściwe łączenie zdań w tekście. Nawet gdy student potrafił w izolacji zbudować poprawne zdanie, to często logiczna koherencja zdania w tekście nie była do zaakceptowania. Mam tu na uwadze tylko tekst pisany, gdyż tekst mówiony ma odrębne zasady organizacji. Wiadomo, że pisanie jest procesem złożonym, podlegającym znacznej refleksji i wymagającym bardziej zróżnicowanego użycia struktur syntaktycznych i środków leksykalnych i ich większej precyzji. Ważny również jest fakt wyważonej redundancji w języku pisanim.

Trudności związane z akwizycją języka obcego mają swe źródło w zasadach gramatycznych i w myśleniu kategorialnym, np. w charakterze kauzalnym, kondycjonalnym, koncesywnym i temporalnym. Język niemiecki ma, w odróżnieniu od języka polskiego, odmienne wykładniki tych kategorii w odniesieniu do ich zastosowania. Podaję tutaj dla przykładu typy niemieckich zdań kauzalnych, które mają wartość ekwiwalentną, strukturalnie są one jednak różne. Główna trudność polegała na ich zastosowaniu w płaszczyźnie stylistycznej i w odmiennej sytuacji. Zdaniem tymi były struktury zdaniowe, np.

- 1) *Er erschien nicht, da / weil es schneite*
- 2) *Es schneite, weshalb er nicht erschien*
- 3) *Es schneite, deshalb erschien er nicht*
- 4) *Er erschien nicht, es schneite nämlich*
- 5) *Er erschien nicht, es schneite*
- 6) *Er erschien wegen des schneegestöbers nicht*

Zdanie 1) występuje częściej w języku pisanim. Zdanie 5) występuje raczej w języku mówionym. W zakresie interpunkcji w zdaniach od 3) do 5) zamiast przecinka można użyć średnika, czego studenci zazwyczaj nie stosowali.

Zasadniczego problemu nie stwarzały ortografia i interpunkcja, ponieważ te zakresy nie mają wiele wspólnego z treścią języka (semantyką). Ich jedynym celem jest ułatwienie rozumienia treści językowych. Ścisłej normie językowej podlegają natomiast zjawiska morfologiczne języka. Odnośnie do składni, jak już wspomniałem, studenci borykali się ze znacznymi trudnościami, gdyż w grę wchodziła tu semantyka, a w szczególności fakt, że np. treści wielu czasowników można ustalić jedynie poprzez ich walencję i dystrybucję.

Wśród zjawisk junkcyjnych, jak przyimki, spójniki, zaimki względne, największą trudność stanowiły przyimki z ich kontaminacją z rodzajnikiem, np. *zur Schule gehen*.

*

Tak więc po latach, kiedy przeszła już pierwsza i druga młodość, budzi się głęboka refleksja co do dwóch wysp wolności: mojej Rodziny i Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego. Na te dwie wyspy patrzę dziś z wielką wdzięcznością. Z tych dwu wysp wolności czerpałem inspirację dla pozytywnych lat mojego życia. Stąd płynęła zachęta do podejmowania wszelkich wysiłków na rzecz służby człowiekowi, a wzgląd na odwieczne Prawo Prawdy, Dobra i Piękna rzeźbił moją osobowość. Postawa służebna rodziła się na tych dwu wyspach wolności: Rodziny i KUL-u, mojej uczelni.

Kolejne lata życia są już w świadomości, w wysiłkach ku Dobru spłaceniem długu wdzięczności wobec osób wspomagających mój rozwój osobowościowy – ludzi, którzy żyli i pracowali na tych dwu wyspach wolności.